

Andrzej Dobosz

Odcinek drugi

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 185-191

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Andrzej Dobosz

Odcinek drugi

... Po tym wszystkim nie umiałem już zachwycać się Antonim Lesznowskim. Uchodząc za niedoścignionego specjalistę w zakresie opisu i oceny gry aktorskiej dysponował on po prostu skalą, na której z nadzwyczajną precyzją były oznaczone wszystkie stany społeczne z wszelkimi możliwymi odcieniami towarzyskimi. Każdemu z tych odcieni odpowiadał określony gest, sposób bycia. Znakomity pan Rychter zasłużył na uwagę, że w niektórych scenach, a mianowicie w scenie z Lady Gerald był zanadto szorstki. Kalectwo, cierpienia duszy mogły wpłynąć na temperament kapitana marynarki, mogły go uczynić żywym, prędkim, nawet opryskliwym, ale od żywości, od opryskliwości nawet, do tonu niskiej szorstkości jeszcze daleko. Równie surowy bywał Lesznowski, gdy nie nagiął się talent artysty, to jest gdy kogoś, kto z racji stanu i rangi winien być w ułożeniu i w mowie zwyczajnym, ostrym, prawie szorstkim, zmiękczył, złagodził, udelikatnił.

Odrzucając — owe milcząco przyjmowane przez Lesznowskiego — przesłanki jego filozofii społecznej, niewiele umiałem się nauczyć od niego jako krytyk teatralny. Teraz jeszcze myślę, że... ale oto przerywa mi jakiś młody człowiek, komunikując swoje opinie o świecie jako całości. Spotyka mnie to po raz pierwszy na tym statku. W rogowych okularach, w garniturku gris foncé, młody człowiek zarówno wzrostem, jak i formacją umysłową zdaje się przypominać Jean Paul Sartre'a. Przez całe lata nie mogłem zdobyć się na to, by pójść do którejś z kawiarni, gdzie bywa Sartre. Aż pewnego dnia

Sartre przyszedł do PIW-u, na Foksal. A najpierw zjawił się Jerzy Lisowski, mówiąc: idzie tu Sartre. I wtedy zrozumiałem rzecz bardzo prostą: oto właśnie esencja poprzedza egzystencję. Wyprzedziła ją zresztą nieznacznie, bo zaraz wszedł sam Sartre i zaczęliśmy rozmowę.

Dziś młody jego zwolennik próbuje wciągnąć mnie w zasadniczy dyskurs. Jak się zachowam? Przypominam sobie zdanie Jakuba, młodego uczonego, którego tak bardzo chciałbym móc znów zobaczyć: Jeśli w czasie sporu pragnie się dojść do słusznego poglądu, samemu bądź wspólnie z przeciwnikiem, pożyteczne jest zajmowanie takich stanowisk, które by dały się wyrazić w zdaniach. Otóż ze szkołą Sartre'a już podczas lektur miałem kłopoty. Moja pamięć, tak czasem sprawna, nie była nigdy w stanie przyswoić sobie paru zdań. Wiem, o co tam chodzi, ilekroć jednak odrywałem wzrok od książki, nie mogłem powtórzyć ani trzech zdań pod rząd. Czytałem stroniczkę parę razy; stale to samo.

Tym razem przyjmuję postawę podziwienia. Głowa wzniesiona na nieco wyciągniętej szyi okazuje chęć rozpoznania lepiej przedmiotu. Twarz spokojna mało się odmienia, powieki tylko wznoszą się cokolwiek, a oczy, trochę więcej jak zwyczajnie otwarte, wlepione być mają w przedmiot, któremu się dziwimy. Usta otwarte mały uśmiech radości okazują i zdają się nie oddychać wcale dla dania duszy czasu do rozpoznania przedmiotu, który ją zachwycił. Ręce obydwie wyciągnięte nieco do ciała, w łokciach cokolwiek zgięte, a palce wszystkie rozszerzone, wyobrażają chęć schwywania przedmiotu, który nam się podoba. Postać ciała cokolwiek nachylona ku przedmiotowi przyjemny pociąg ku niemu oznacza, noga jedna naprzód wystawiona chęć zbliżenia się do niego poznać daje. Taka jest mimika radosnego podziwienia. Uważać jednak potrzeba, że wszystkie te poruszenia zwiększają się lub wolnieją w miarę oświecenia osoby, która je wyraża. Człowiek bowiem rozumny mniej nad każdą doskonałością zwykł się dziwić niż człowiek więcej namiętnością jak rozumem rządzony.

Prezentuję tym razem wersję podziwienia — jak sądzę — raczej dosyć powściągliwego. Przy lekko wyciągniętej szyi, niezbyt wznosząc głowę, może nawet łagodnie ją nachylam, skoro rozmówca nie jest wyższy ode mnie. Powietrze wydaje się tak czyste, że nie wstrzymuję oddechu. Ręce już cokolwiek zgięte w łokciach, palce wszystkie rozszerzone, zdają się być gotowe do wysunięcia ku rozmówcy, jeśli nadal będzie się przybliżał. Noga jedna skręcona w bok

pozwole mi odejść w chwili, w której będę skłonny powziąć przypuszczenie, że temat być może, raczej bliski jest już wyczerpania. Tak wyrażone podziwienie rozmówca może odnieść do siebie; dałoby się je również wywieść z podstawowego pytania: dlaczego istnieje raczej coś niż Nic?

Osobliwy jest zresztą sposób wypowiedzania się młodego człowieka; jest to nieco więcej niż szept. Głos na stałe uwięzły w głębi gardła i dzięki nieustannie ponawianym wysiłkom bez przerwy się stamtąd wydobywający. Podczas angażowania do „Rejsu”, spytany, czym się może popisać, zwolennik filozofii egzystencjalnej wyszeptał: zaśpiewać.

— A co pan chce zaśpiewać?

— „Missisipi”.

— Proszę, niech pan zaśpiewa.

Wyszeptał pieśń. Od tego czasu personel mówi o nim: Pan Missisipi.

Znacznie mniej intensywny towarzysko jest pan z brodą. Pojawił się w przedsiębiorstwie filmowym, by podpisać umowę jako opiekun Kasi, uczennicy szkół. Nie wiadano, kim jest, ale na sam jego widok zamarżono, żeby zagrał w tym filmie. Były wakacje, zgodził się pod paroma warunkami.

Gdy zapisywałem się na moje drugie studia, od roku już nie był Dziekanem Wydziału Filozoficznego. Przeszedł do Akademii Nauk, potem wyjechał na wykłady do Stanów Zjednoczonych. Ale na wydziale jego legenda była żywa. Ma lat 47, siwiuteńką brodę i należy do bardzo nielicznej światowej czołówki logików matematycznych. Gdy dochodzi między nami do rozmowy, słucham go z uwagą.

Prosiłem kiedyś moich studentów, by pamiętali, co Simone Weil pisze o uwadze: Uwaga polega na tym, że zawiesza się myśl, że pozostawia się ją giętką, pustą i gotową wchłonąć przedmiot, że utrzymuje się w sobie blisko myśli, ale na poziomie niższym i bez kontaktu z nią, różne zdobyte wiadomości, którymi trzeba się posłużyć.

Myśl powinna być wobec wszystkich poszczególnych myśli już uformowanych jak człowiek na górskim szczycie, który patrząc przed siebie, dostrzega równocześnie pod sobą, ale nie przypatrując się im, wiele lasów i równin. A przede wszystkim myśl powinna być pusta, w oczekiwaniu, niczego nie szukać, ale być gotowa do przyjęcia w jego prawdzie przedmiotu, który ma w nią przeniknąć.

Wszystkie wykładnie tekstów na odwrót, wszystkie absurdy przy rozwiązywaniu zadań, wszystkie niezręczności stylu i fałszywe połączenia idei pochodzą stąd, że myśl pospieszna rzuciła się na coś i wypełniwszy się tym przedwcześnie nie była już zdolna służyć za narzędzie.

Jakie poruszenia ciała towarzyszą w moim wypadku uwadze? Nie wiem. Jak może obejmować myślą większe sprawy człowiek, który zajmowałby swój umysł w zbyt wielkim stopniu rzeczami drobnymi?

Jesteśmy wszyscy wzywani do kostiumologa w celu ustalenia naszych strojów, które odtąd będą się nazywały kostiumami. Większość pasażerów wkłada stroje kąpielowe, barwne koszulki, pełne fantazji ubiory sportowe. Pan Missisipi pozostaje w garniturku gris foncé, profesor ściąga pomarańczową koszulkę Steffens Institute of Technology, w którym wykładał w ostatnim sezonie, koszulkę z wielkim napisem na piersiach PER ASPERA AD ASTRA i wkłada bardziej neutralną w kolorze czystego nieba odbitego w skrzydle samolotu. Do tego shorty. Ja będę w ubraniu tweedowym z brązowej jodełki na białym, tym samym, które miałem na sobie ostatniej wiosny, w każdy czwartek po obiedzie. Minutę na czwartą, wchodząc na schody warszawskiej polonistyki, wyciągałem z kieszonki zegarek, by sprawdzić, czy już rzeczywiście czas na mnie, czy nie jest za wcześnie? Wtedy, nieodmiennie rozlegały się ściszone okrzyki moich studentów: idzie, idzie.

Krawat będę miał brązowy, wełniany, dosyć wąski i, niestety, maszynowej roboty. Pani Maria Ewa Zielińska zrobiła kiedyś swemu mężowi, szydełkiem, tak piękny, gruby, kolorowy krawat wełniany, że choć były wtedy silne mrozy, pan Zieliński noszący zwykle dobre szaliki, chodził po mieście bez szalika. Chciałbym mieć kiedyś krawat, choć w połowie tak piękny jak tamten.

Największy kłopot jest z wyborem kapelusza. Reżyser z operatorem i asystentami sądzą, że mógłbym zagrać w każdym z moich kapeluszy; a trzeba się zdecydować tylko na jeden. Wybrałem jasno kremowy, w gatunku safari ale z rondem o wiele większym od przeciętnego europejskiego, w kształcie, który za każdym razem trzeba mu nadać na nowo, w związku z czym ustaliłem dla niego status czapki i ściągam go z głowy tylko na widok pani Ossowskiej i pani Kotarbińskiej. Kapelusz ten budzi zawsze dość żywe reakcje na Pradze, w okolicach Dworca Wileńskiego, gdy udaję się tam na konferencję do mego krawca od spodni.

Okazuje się, że mam w całym filmie być tylko w jednym ubraniu. Pytam, czy muszę po obiedzie chodzić w tym samym co przed obiadem? Mówią mi, że mogę po zdjęciach wkładać co mi się podoba. Ale chodziło mi nie o mnie, tylko o postać, którą mam zagrać, jeśli ona ma być rzeczywiście mną. Tłumaczą mi, że inna jest kolejność kręcenia a znowu inna chronologia czasu filmowego i że mogłyby stąd wyniknąć kłopoty. Ale przecież — tylko tego już im nie mówię — widziałem filmy, w których noszono ubrania stosownie do pory. Do sceny balu, mówią, i tak państwo będziecie przebrani.

Czekamy już, żeby coś zagrać. Reżyser uspokaja nas. Sądzi, że powinniśmy się jeszcze lepiej poznać, oswoić, rozluźnić.

Wracając od kostiumologa spotykam Jana Himilsbacha, autora tomu opowiadań „Monidło”, który też ma tu objąć rolę. Janek odwołuje mnie na chwilę na bok, co jest jego ulubionym zwyczajem; Doboszek, chodź no tu na chwilę. Odchodzimy na bok, pochyleni ku sobie. Zanim jednak padnie pierwsze zdanie, rozlega się głos z tuby: Pan Himilsbach proszony na próbę kostiumu! Zostaję sam. Umieszczam się w leżaku i otwieram książkę:

Ustęp nr 19: O MOCY DUCHOWEJ CESARZA

Dopiero potomność będzie mogła ściśle ocenić moc duchową Cesarza; ale współcześni mogą ją sobie silniej lub słabiej uświadamiać. Najwybitniejszym człowiekiem po Cesarzu jest niewątpliwie ten, który najgłębiej go podziwia.

Ustęp nr 22: O ŚWIĄTYNI CHWAŁY

Aby ofiarować Cesarzowi pomnik godny jego osoby, należałoby ociosać górę Św. Bernarda i wyrzeźbić z niej posąg, którego podstawą byłaby cała ziemia. („Wprowadzenie do prac naukowych dziesiętnastego wieku”, t. II).

Dawno już pomyślałem, że chcąc uporządkować moje doświadczenia dziesiętnastowieczne powinienem napisać powieść. Kiedyś, podczas codziennego spaceru Nowym Światem w stronę Placu Trzech Krzyży, gdy przecinaliśmy Aleje Jerozolimskie, pan Antoni opowiedział mi, że zawsze w tym miejscu, jako chłopiec jadąc na rowerze — który był wtedy najszybszym środkiem lokomocji — jedną ręką ścigał z głowy czapkę i zasłaniał nią z tyłu numer, żeby nie zostać zapisanym przez stójkowego za przekroczenie szybkości. Od tamtej chwili wiedziałem, że zasadniczym motywem mojej powieści będzie poruszanie się, komunikacja, podróż. Podróż, w czasie której bohater stara się spotkać ludzi godnych uwagi, zadaje im pytania i dba

o to, by rozumieć i być w stanie powtórzyć udzielone mu odpowiedzi.

Wprowadzenie bohatera i ograniczenie narracji do tego tylko, co on będzie zdolny doświadczyć i pojąć, było pierwszym uszczupleniem swobody powieściopisarza. Nie wydawało mi się ono zbyt dotkliwe. Gdy Boswell spytał doktora Johnsona, czy znał jakiegoś innego Johnsona, który popisywał się jazdą na trzech koniach na raz — doktor odparł, że nie miał szczęścia znać owego gentlemana, ale teraz, gdy już o nim usłyszał, sądzi, że taki jegomość godzien jest wszelkiego poparcia, gdyż jego popisy dowodzą znacznych ludzkich możliwości w pewnej dziedzinie, a zatem dobrze świadczą o człowieku w ogóle. Ów Johnson pokazuje, jak wiele można osiągnąć, co winno każdego natchnąć nadzieją, że przykładając się nie nauczy się zapewne jeździć na trzech koniach na raz ani chodzić po linie, lecz zyska podobną doskonałość w jakiejś innej, wybranej przez siebie dziedzinie.

Już napisałem kilka stron, gdy przyszło mi do głowy, żeby przed dalszym ciągiem coś jeszcze przeczytać. Ta lektura pociągnęła znów za sobą następne. Trafiłem na fragment, w którym ktoś, do kogo z pewnością bym pielgrzymował w roku 1841, opowiadając o swej młodości, o swojej pierwszej wielkiej podróży odbytej we wczesnych latach czterdziestych zeszłego (to jest osiemnastego) stulecia wspomina chwilę, w której po raz pierwszy, na pokładzie małego stateczku, znalazł się na morzu. „Będąc blisko Malty pierwszy raz doznałem, co to jest burza na morzu; po opisanie jej odsyłam do Vergilego”.

Ta wzmianka o burzy przypomniła mi inną jeszcze burzę. Latem roku 1835 Aleksander Hercen po dziewięciu miesiącach aresztu śledczego został w eskorcie żandarma zesłany do Permu. Po drodze wypadło mu przepłynąć się promem przez którąś z dużych rosyjskich rzek. Gdy byli na środku rzeki nadciągnęła burza. Wydawało się — opowiada Hercen — że bez wyjątku potoniemy: mój kamerdyner, który się popłakał, żandarm, który wymyślał i groził, że na brzegu wszystkich pobije, i wreszcie ja.

Gdyby nie ta burza, nigdy bym się nie dowiedział, że Hercenowi przez cały czas towarzyszył kamerdyner; było to dla niego tak oczywiste, że nigdzie więcej o nim nie wspomina.

Obie burze pozwoliły mi uświadomić sobie pewną trudność mego przedsięwzięcia. Zaczynałem opowiadać historie dlatego, że mnie samego one zachwyciły. Miałem poczucie, że wchodzę w posiadanie

nie spadku. Podniecony, nie dość zastanawiałem się, dlaczego właściwie przede mną nie korzystano z tych skarbów. Teraz pojąłem, że dopiero w rezultacie kojarzenia jednych wydarzeń z innymi, dzięki temu, że właściwie przypadkiem czasem umiałem uzupełnić opuszczony człon rozumowania, że przeważnie dopiero dzięki tym operacjom umysłu ślady historii zaczynają nabierać sensu.

Miałem więc przed sobą dwojakie zadania. Najpierw, żeby samemu zrozumieć, musiałem nie tylko kompletnie poznać wydarzenia, całą faktografię, ale i przyswoić sobie dokładnie kulturę humanistyczną, jaką wówczas można było wynieść z dobrych szkół i uniwersytetów. Pewnie wtedy mógłbym rzeczywiście rozumieć odpowiedzi udzielane na pytania mego bohatera. Dziś na przykład rzadko już w rozmowach o literaturze bywa przywoływana Biblioteka Boya. Ale chcąc owocnie obcować umysłowo z poprzednim pokoleniem należałoby przed wyjściem z domu starannie ją całą przeczytać, nawet jeśli nie nadarzy się nigdy okazja popisania się jej znajomością. Są rozmówcy, którym nigdy nie przyjdzie do głowy, że można tego nie znać.

Dopiero wówczas mogłem przystąpić do mojego drugiego zadania: rekonstrukcji.

*Jako gdy konie wywodzą przed ganek
W czas poobiedniej godziny trawienia,
Tak bohaterów rzędy i kochanek,
Tak myśli wielkie i wielkie wspomnienia
Wywodzi pisarz na chiński stoliczek
Przed wpółotwarte oczy czytelniczek.*

Żeby wykonać szczęśliwie to drugie zadanie, powinienem zachować w pamięci świadomość całej mojej niewiedzy z okresu poprzedzającego rozumienie.

Teraz jednak zaczynały się najlepsze lata mojego życia: czytanie. Czytanie według wielkiego programu. Najważniejsze było jednak głębokie poczucie, że właśnie czytając zajmowałem się przecież codziennie swoją powieścią, czyniłem właśnie to co trzeba, żeby stać się powieściopisarzem. Gdybym został powieściopisarzem? Czytany, wydawanym powieściopisarzem. Miałbym zawsze w domu jabłka i świeże kwiaty. Czegoż więcej potrzeba mi do szczęścia? Przede wszystkim obrazu Tadeusza Brzozowskiego, malarza z Zakopanego.

Ciąg dalszy nastąpi